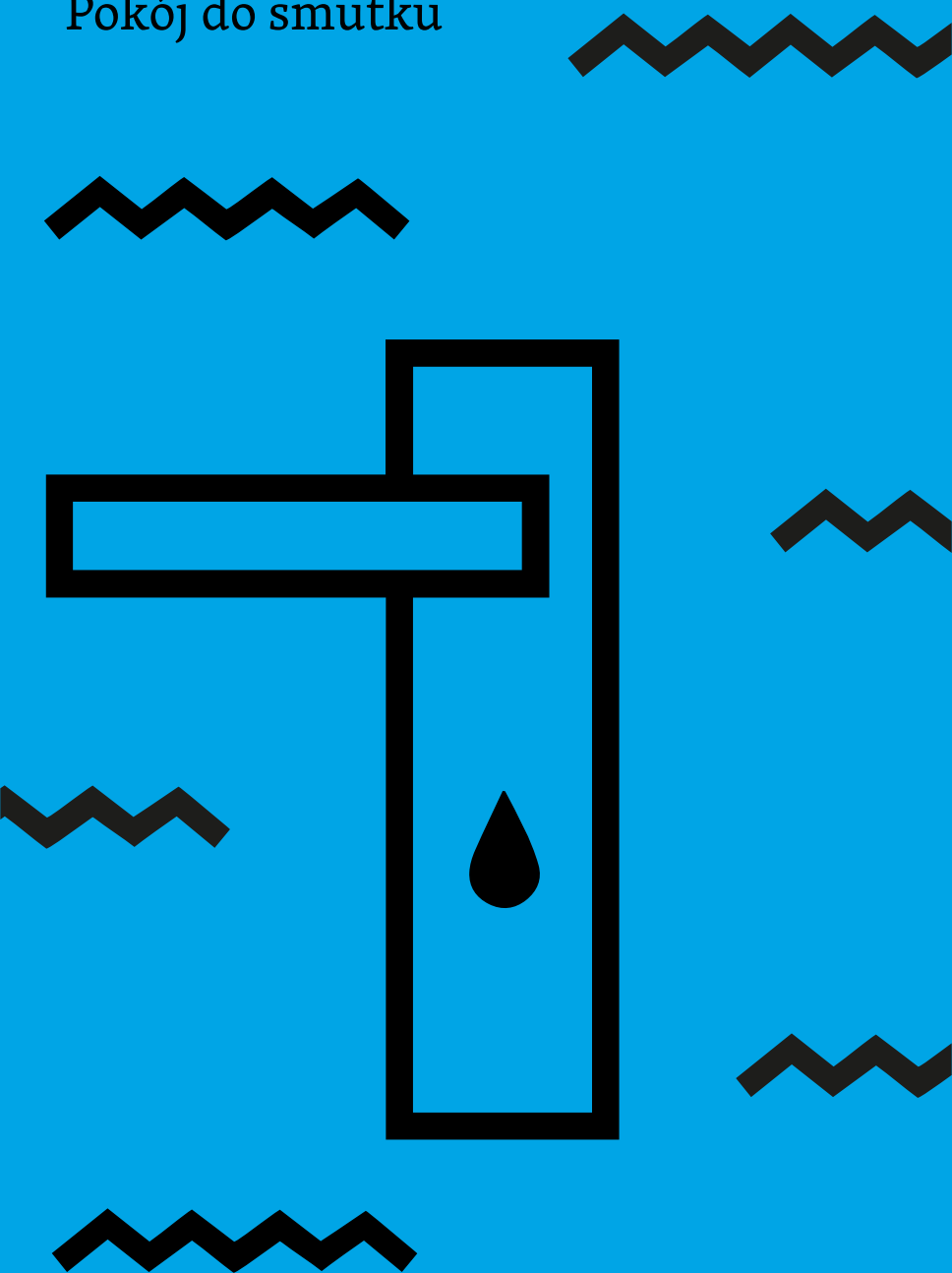


Andrij Lubka  
Pokój do smutku



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na  
[www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

Wschodni Express  
Seria wydawnicza

Ж К І М  
П Е Ц Н А  
Ч А Л І Я  
для

Andrij Lubka

# *Pokój do smutku*

Przełożył Bohdan Zadura

Warsztaty Kultury

Lublin 2018



## *Kobieta i zapalki*

Gdzie ona teraz jest, ta kobieta, która tak niespodziewanie i dogłębnie zmieniła moje życie?

Z melancholijnej zadumy wyrwał mnie mały chłopiec, który chodził po plaży, proponując kokosy. Otworzyłem oczy, od razu jednak nakładając okulary przeciwsłoneczne, bo po godzinie półsennego mroku popołudniowe światło raziło jak skalpel, kiwnąłem głową małemu, wyciągnąłem z plecaka pięć realów, za które dostałem świeży owoc ze słomką w środku. Ulokowawszy się pod parasolem, piłem przyjemnie chłodne mleczko kokosowe i rozglądałem się dookoła. Przede mną ocean, na widnokręgu góry, plaża pełna ludzi, pstrokatosc kostiumów kąpielowych i plażowych parasoli, w wodzie surferzy, wielkie statki, które wpływają do portu, żółty kolor piasku i błękit nieba – wszystko to wyglądało tak doskonale, że na tym perfekcyjnym obrazie tylko ja wydawałem się sobie zbyt czyny. Właśnie mnie nie powinno być w tym raj.

Rio de Janeiro to miasto, w którym nie można się urodzić, przynajmniej tak myślałem. Bo jeśli można w Rio de Janeiro po prostu urodzić się i mieszkać, to na świecie panuje cholerna niesprawiedliwość. Czemu ktoś rodzi się w Winohradowie, Izjaławiu czy w Dnieprodzierżyńsku, a ktoś w Rio de Janeiro – którego sama nazwa pobudza wszystkie estetyczne receptory, a jej brzmienie przypomina jazz? I oto jestem tutaj, na plaży Ipanema, w saładowych szortach i czerwonym T-shircie, w ciemnych okularach, które nie tylko chronią przed jaskrawym światłem, ale i ukrywają moje smutne, niemal zapłakane oczy. Warto byłoby się rozejrzeć – zobaczyć górę Corcovado z gigantyczną figurą Jezusa Chrystusa, spojrzeć w jedną stronę – wyrósłby przed tobą pałac Ipanema i nabrzeże, które kończy się morską latarnią, w inną – ukazałaby ci się złocista plaża ze ślicznotkami

o wszystkich możliwych odcieniach skóry, popatrzyłbyś na wprost – i miałbyś przed sobą Ocean Atlantycki, którego bezmiar uspokaja i hipnotyzuje. Ale ja nie patrzę na to wszystko, ktoś nieznany, a raczej Nieznany, drwi ze mnie, bo tutaj, na tym szezlongu pod parasolem, jestem tylko ja fizyczny, natomiast wszystkie moje myśli są daleko stąd, i to nie tylko geograficznie, one są w przeszłości. Warto było pokonać 10 tysięcy kilometrów, przelecieć przez ocean i zatrzymać się na innym kontynencie, w najpiękniejszym mieście świata, żeby się zasmucić i nagle stać lirycznym, delikatnym, jak pierwsza młodziutka trawa? Mniej więcej o to piąty już dzień z rzędu pytają mnie przyjaciele.

Zresztą nie żałuję, że moje brazylijskie wakacje nie okazały się aż tak wesołe, jak się zapowiadały. Przecież to były te dwa tygodnie, które – no dobrze, niechaj w myśli tylko – spędziłem z nią. Kobieta, dzięki której się tutaj znalazłem i której od tyłu już lat nie mogę zapomnieć. I warto było z okienka samolotu zobaczyć pociętą linię plaży koło Rio, kiedy to od razu zwały się na mnie wspomnienia, a w środku coś jak mały jeż zakłuło – zabolalo, aż chciało się w te pędy biec do kasy i kupować bilety powrotne, wracać do Europy i natychmiast odszukać tę kobietę, której nie widziałem już pięć lat i która tak zmieniała mnie i moje życie. To ona kilka dni temu powinna wyjść z samolotu i zobaczyć Rio de Janeiro, ona powinna być tutaj, rozkoszować się oceanem, plażą, ludźmi, niebem, zapachem i smakami, ona na to wszystko zasłużyła, nie ja.

Poznaliśmy się w Warszawie, w 2010 roku. Pamiętam, był pochmurny i dość chłodny majowy dzień. Już od samego rana biegałem, załatwiając jakieś kolejne absurdalne sprawy, więc kiedy po południu zdarzyła się wolna chwila, kupiłem sobie burgera i sok z marchwi, żeby cokolwiek przekąsić. Usiadłem na ławce na skwerku nieopodal i zacząłem jeść, a prawdę mówiąc – pochłaniać jedzenie. Skwerek wokół niewielkiej fontanny był zaciszny i wygodny, znajdował



się o dwie minuty od wielkiego węzła komunikacyjnego, planowałem, że wsiądę tam do autobusu, który dowiezie mnie do jakiegoś nowego absurdalnego punktu przeznaczenia, gdzie dalej będę załatwiał nikomu, nawet mnie, niepotrzebne sprawy. Jednak tego dnia do żadnego autobusu już nie wsiadłem. Na skwerku było siedem ławek, ale zupełnie nie było ludzi. Być może ze względu na pochmurną pogodę. To mnie urządziło, bo nie bardzo lubię, kiedy ktoś patrzy, jak jem. Nie zdążyłem jeszcze usiąść i zacząć żuć, gdy na skwerku pojawiła się kobieta, która zajęła miejsce naprzeciw, więc mogłem na nią patrzeć przez skąpe bryzgi fontanny. Chyba przesadą jest, że się jej przyglądałem: kobieta ubrana była w czarny hidżab, który tylko wokół głowy zamieniał się w białą chustę. Czyli widziałem jedynie jej oczy, których koloru z daleka nawet nie mogłem rozróżnić, ale było przecież jasne, że wzrok miała żywy i szybki. A linia brwi wskazywała, że to jest ładna kobieta.

Przez te kilka chwil, w ciągu których jadłem, zabawiałem się rozmyślaniami o wieku kobiety z naprzeciwka. Wedle muzułmańskich reguł hidżab powinien całkiem zakrywać ciało, zasłaniając kobietę i nawet jej kształty przed mężczyzną, żeby nie budziła w nim grzesznych myśli. No cóż, muszę przyznać: takie ubranie dobrze spełnia swoją funkcję. Jedyny wniosek, jaki mógłbym wyciągnąć, był taki, że nieznamoma jest dość niska i krucha, ale już nawet jej figury nie mogłem obejrzeć, całkiem możliwe, że pod hidżabem była talia modelki lub brzuch ciężarnej. Wiek ocenić też było trudno, bo chociaż oczy jej wyglądały na żywe i świeże, takie spojrzenie może mieć nawet emeryt; oczy człowieka wyrażają stan ducha, a nie ciała.

Na przykład gdyby ktoś zadał sobie trud, by określić mój wiek po oczach w Brazylii, bez wątplenia zaliczyłyby mnie do rychłych nieboszczyków – taki kosmiczny smutek wypromieniowywało moje spojrzenie.

Już zbierałem się do odejścia, kiedy kobieta nagle się podniosła i ruszyła w moim kierunku. Okazało się, że w rękach ma plan Warszawy. Nieśmiało, cichym i, jak mi się zdawało, wystraszone głosem spytała, czy mówię po angielsku. O ludziach z takim głosem mawia się, że oni przepraszają za to, że żyją. Odpowiedziałem twierdząco i od razu zapytałem, czego szuka. Muzułmanka rozwinęła przede mną swoją mapę i paluszkami pokazała na niej miejsce, w którym się znajdowaliśmy. Ręce, w odróżnieniu od oczu czy całej twarzy, prawie nigdy nie kłamią. Niby patrzyłem na plan, ale tak naprawdę przyglądałem się dłoni kobiety. Taką skórę może mieć tylko dziewczyna, młoda dziewczyna. Od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat – w myśli określiłem jej wiek. Kobieta jeszcze bliżej nachyliła się do mnie i dalej coś bełkotała po angielsku, podczas gdy ja się w nią wwąchiwałem. Pachniała świeżością, jak bluzka, którą po wypraniu powieszono, by wyschła na wietrze. W jej zapachach nie było żadnego śladu chemii, żadnych aluzji do perfum czy szamponu, po prostu pachniała czystym i świeżym ciałem młodej kobiety, a ono – jak wiadomo – pachnie kwiatem bzu po burzy.

– Może pan wie, gdzie to jest? – zapytała po angielsku, w którym „pan” i „ty” są tym samym słowem, więc ten szacowny zwrot raczej sam sobie wymyśliłem, bo do dystansu i oficjalności skłaniał jej wygląd.

– A czego dokładnie pani szuka? – musiałem przyznać, że słuchołem jej niezbyt uważnie.

– Urzędu do spraw Cudzoziemców – powiedziała po angielsku, a potem jeszcze powtórzyła łamaną polszczyzną: – Urzond do spraw Cudzoziemców, ulica Długa.

– O tak, wiem, gdzie to jest. To tuż obok – odpowiedziałem radośnie.

– Tak, wiem, że w pobliżu, ale sama krążę tu już dobre czterdzieści minut, a trafić tam nijak nie mogę! – rozpaczliwie rozłożyła ręce.

- To ja panią zaprowadzę, nie ma problemu! - domyśliłem się, że pomoc cudzoziemcowi w obcym mieście będzie niezbędna.

Co kazało mi zapomnieć o swoich sprawach i pójść razem z nieznaną w hidżabie w przeciwnym niż potrzebny mi kierunku? Jej zapach, biel i kruchość dłoni czy sama niezwykłość sytuacji, bo pierwszy raz w życiu rozmawiałem z kobietą w muzułmańskim stroju? Wiedziałem, że kultura nie tylko zabrania kobiecie jako pierwszej zaczynać rozmowę z mężczyzną, ale w ogóle rozmawiać z nieznanymi. Czyli pomoc była jej naprawdę potrzebna.

Siedmiominutową drogę do urzędu wykorzystałem na rozmowę. Po pierwsze, spytałem ją o cel wizyty w tej biurokratycznej instytucji. Oczywiście szła tam po dokument stwierdzający prawo pobytu w Polsce. Następne pytanie dotyczyło rodzaju zajęć - okazało się, że jest studentką. Po tem zapytałem o jej ojczyznę. Dziewczyna wymieniła Iran.

- No, skoro już niemal wszystko o tobie wiem, to powiedz, jak masz na imię! - powiedziałem, patrząc trochę już znajomej nieznanym prosto w oczy.

- Simin - odpowiedziała dziewczyna i zdawało mi się, że się uśmiechnęła, chociaż widziałem tylko jej oczy. One rzeczywiście się uśmiechały.

- Piękne imię. A ja jestem Andrij, z Ukrainy - powiedziałem i wyciągnąłem rękę, jednak dziewczyna jej nie uściśnęła.

- Nie wolno nam dotykać obcych mężczyzn - wyjaśniła Simin.

Chciałem zażartować, że wcale nie jestem obcy, a bliski i ciepły, ale ugryzłem się w język, bo nie wiedziałem, jak muzułmanka zareaguje na takie komentarze. Tymczasem doszliśmy do budynku Urzędu do spraw Cudzoziemców. Nie chciałem rozstawać się z Simin, więc zapytałem:

- Może potrzebna jeszcze jakaś pomoc? Wejdę z tobą, może trzeba będzie coś przełożyć na polski czy poszukać

właściwego pokoju – zaproponowałem po angielsku, w tym szczęśliwym języku, w którym „ty” i „pani” jest jednym i tym samym słowem, więc ja uważałem, że zwracam się do dziewczyny przez „ty”, a ona, że przez „pani”.

– Będę wdzięczna. – Simin opuściła oczy i pochyliła głowę, jakby na znak podziękowania.

Okazało się, że moja propozycja nie była pozbawiona sensu: nawet ja ze swoim swobodnym polskim szukałem potrzebnego pokoju pośród dziesiątków innych dobre piętnaście minut. Znalazłszy się przed nim, trafiliśmy na kolejkę. Kiedy indziej od razu by mnie to zdenerwowało, ale teraz się ucieszyłem, bo kolejka dawała możliwość porozmawiania przez co najmniej pół godziny. Dowiedziałem się, że w Warszawie Simin studiuje międzynarodowe prawo handlowe, jej ojciec jest wielkim irańskim przedsiębiorcą, to on postanowił wysłać córkę na studia i nawet wybrał dla niej fakultet, bo chce, żeby po studiach pracowała w jego firmie. Jak podkreśliła dziewczyna, to dość nietypowa sytuacja, kiedy kobiecie z ich kultury pozwala się na studia – i to jeszcze za granicą; rzecz w tym, że jej tato jest nowoczesny i liberalny, sam kiedyś studiował w Madrycie.

Polskę wybrał dlatego, że tutaj mieści się jego spółka córka, której dyrektor obiecał opiekować się dziewczyną.

– Ze wstydem muszę przyznać, że bardzo mało wiem o Iranie – powiedziałem w zamyśleniu. – Wiem, że to bardzo stara, licząca kilka tysięcy lat kultura, że to państwo islamskie, szejkwowie, nafta, pustynie i terroryzm, chyba. I to wszystko.

– To wcale niemało – odpowiedziała Simen. – Większość ludzi myli Iran z Irakiem i w pierwszych słowach zaczyna wyrażać współczucie z powodu wojny i zapewniać, że oni też nie lubią Busha. I w ogóle Amerykanów.

– A ty nosisz hidżab tutaj, w Polsce, bo uważasz, że tak należy, czy ojciec cię do tego zmusza?

- U nas hidżab nazywa się czador. Czador noszę, bo uważam, że tak należy. Co prawda, na zajęciach przychodzi mi zdejmować chustę, bo tego wymaga polskie prawodawstwo, ale na ulicy wygodniej mi zakrywać twarz.

- Możesz ją teraz odkryć, przecież to publiczna instytucja?

- Mogę, czemu nie - odpowiedziała Simin i lekkim ruchem zdjęła tkaninę z głowy.

Dobrze, że udało mi się opanować i nie achnąć, bo dziewczyna okazała się uderzająco piękna. Czarne głębokie oczy, idealnie proporcjonalna twarz, ciemny kolor skóry, pełne usta, w sumie - arystokratyczna piękność. Jej uroda była nie taka, jaką chce się wziąć i jej posmakować, a taka, że chce się ją objąć i chronić od wszelkiego zła tego świata. Było w niej coś czystego i dziecięcego.

- Lepiej ci bez czadoru, ale gdybym był twoim mężem, wołałbym, żebyś go nosiła i żeby nikt nie widział tej niebiańskiej urody, doprowadzałyby mnie to do zazdrości - powiedziałem prawdę.

- Widzisz, wy, mężczyźni, jesteście całkiem jednakowi, niezależnie od kultury, kontynentu i religii. Chcecie kobietę sobie przywłaszczyć, boicie się konkurencji i wymagacie, żeby dla ludzi żona wyglądała na świętą, a w domu była wyzwolona i gotowa spełniać wszystkie wasze grzeszne i przewidywalne pragnienia - uśmiechnęła się.

Kiedy wreszcie była nasza kolej, okazałem się niepotrzebny, bo pani w pokoju swobodnie rozmawiała po angielsku („to przecież Urząd do spraw Cudzoziemców, to oczywiste, że musimy tutaj znać obce języki!”), a po określeniu, kim jestem dla Simin, w ogóle wyproszono mnie za drzwi. Zaczekałem na Irankę na dworze. Wyszła i podziękowała mi za pomoc, przeprosiła za kłopot, a potem powiedziała, że wszystko załatwiła i musi już iść. Na moją propozycję kawy odpowiedziała odmownie, wyjaśnwszy, że już dawno powinna być w domu. Wtedy uciekłem się

do ostatniej – przyznaję dość cynicznej próby nawiązania kontaktu: zaproponowałem, byśmy wymienili się numerami telefonów, by w razie jakichś jeszcze kłopotów, pytań czy trudności po prostu mogła do mnie zadzwonić, a ja wtedy chętnie pomogę.

– Dla mnie to będzie szczęście: pomóc osobie, której rodakiem był Abol Ghasem Ferdousi, jeden z moich ulubionych poetów – z wrodzoną łatwością skłamałem, nawet się nie zaczerwieniwszy, chociaż o Ferdousim pierwszy raz dowiedziałem się dziesięć minut wcześniej, kiedy zapytałem Google w swoim telefonie o irańską poezję.

– O, nie jesteś taki beznadziejny, jaki się wydawałeś, a mówiłeś, że wiesz tylko o terroryzmie – powiedziała mi na pożegnanie Simin, podyktowała swój numer i znów zakryła twarz czadorem.

Następnym razem zobaczyliśmy się po tygodniu. Poprzedziła to dość intensywne wymiana sms-ów: udawałem głębokie zainteresowanie irańską kulturą. Tak jej napisałem w pierwszej wiadomości: to znaczy mnie, człowiekowi, który wierzy w los, energię i przypadki zmieniające życie, wydaje się, że nasze spotkanie było w moim życiu potrzebne, ona jest sygnałem, że powinienem wykorzystać okazję i dowiedzieć się więcej o irańskiej i w ogóle wschodniej kulturze. Zresztą, jeśli chcesz mieć powodzenie u dziewcząt, musisz być trochę kłamcą i draniem, bodaj odrobinę. Dlatego szukałem u niej porad co do irańskiej kinematografii, muzyki i literatury. Filmy irańskie okazały się nudne, długie i niezrozumiałe, muzyka – jakaś monotonna i senna, ale ani się nie zająknąłem, kiedy dziękowałem i wyrażałem zachwyt dla kolejnego irańskiego zespołu.

Mój zapał do chwaleń i zachwycania się trochę opadł, kiedy dostałem od Simin taki sms: „Miło, że tak ci się spodobał ten zespół. Chociaż to dziwne, że tak się zachwycasz

irańską muzyką. Ja na przykład jej nie znoszę, więc słucham tylko francuskiej i amerykańskiej”.

Na moje szczęście, akurat wtedy w Polsce wszedł na ekrany film irańskiego reżysera Ashgara Farhadiego *Co wiesz o Elly?*. Pokazywano go w wersji angielskiej z polskimi napisami, więc była to świetna okazja, żeby zaprosić Simin. Szkoda, że nie widzieliście, jak na nas patrzyli w hallu kina! Wyobraźcie sobie: wchodzi młody długowłosy chłopiec w dżinsach, czerwonym T-shircie i z kolczykiem w uchu, a obok niego – dziewczyna w hidżabie. Po filmie, który bez hamulców obasyptałem komplementami, wypiliśmy herbatę i wsadziłem Simin do taksówki.

Tak się zaczął nasz dziwny romans. Pierwszy raz przyszła do mnie do domu na początku czerwca, mniej więcej miesiąc po naszym poznaniu się, a po kolejnych dwóch tygodniach pierwszy raz się pocałowaliśmy. Simin od razu jednak ogłosiła, że nasza znajomość nie ma perspektyw, bo ojciec już ma na oku narzeczonego dla niej. Muszę więc sobie uświadomić, że ona nigdy za mnie nie wyjdzie. Nie żebym bardzo zasmucił się tą wiadomością, ale z premedytacją zrobiłem jakiś kwaśny grymas i odpowiedziałem: „Jeszcze zobaczymy!”.

Widywaliśmy się coraz częściej, nasze stosunki się zacieśniały, aż wreszcie nadeszła nasza złota pora – lipiec, kiedy to szef kompanii i przyjaciel ojca Simin polecił gdzieś na wypoczynek, więc teraz miała więcej wolnego czasu i mogła częściej do mnie przychodzić. Jeśli z początku pociągała mnie jej uroda, ale przede wszystkim egzotyczność zalecania się do kobiety w hidżabie, to potem zacząłem powoli i naprawdę zakochiwać się w tej skromnej, maleńkiej, cichej, ale silnej charakterem dziewczynce. Dziwne i intrygujące było nawet uświadamiać sobie, że mam też „znajomą z Iranu”, nie mówiąc już o ciele gimnastyczki, którym wszechmogący Allah nagrodził Simin.

Jej ciało zobaczyłem, kiedy pierwszy raz została u mnie na noc. Tej nocy zrozumiałem, że między nami zrodziło się jakieś zaufanie i porozumienie. Jeszcze długo przedtem Simin wyjaśniła mi, że między nami nie może być seksu, bo ona przygotowuje się do ślubu w Iranie i musi pozostać niepokalana. Od tego zależy nie tylko jej życie, ale i honor rodziny – mniej więcej tak to wyjaśniała. Na moje nieśmiałe repliki, że istnieją różne sposoby seksu i otrzymania rozkoszy, które nie zakładają rozerwania i tak dalej, czerwieniła się i obrażała. Dlatego nasze stosunki ograniczały się do rozmów, dotyków, pocałunków, trzymania się za ręce i obejmowania. Nazywałem je anielskimi.

Co prawda, raz diabeł podkusił mnie, żeby spróbować szczęścia. Po pocałunkach i objęciach dość sprytnie przewróciłem Simin na plecy, położyłem się na niej, moje ręce zaczęły błądzić po jej ciele, póki nie zacząłem ściągać z niej džinsów. Co się wtedy zaczęło! Simin boleśnie mnie kopnęła, zrzuciła z siebie na podłogę, a sama w te pędy pobiegła do kuchni. Pobiegnęłam za nią, żeby ją uspokoić. W kuchni stała koło okna, jej twarz była czerwona, a źrenice rozszerzone i przerażone. Kiedy spróbowałem do niej podejść, nagle chwyciła z parapetu pudełko zapalek, którymi od czasu do czasu zapalałam fajkę z marihuaną, i zaczęła przeraźliwie krzyczeć: „Nie podchodź, bo wszystko tu spale! Nie podchodź, mówię!”. To był ryk dzikiego zwierzęcia, drapieżnika. Ale czemu nie złapała za nóż, taboret, nożyczki, butelkę, czemu wzięła zapalaki? Jak zamierzała mnie nimi przestraszyć? Tymczasem Simin wyciągnęła jedną zapalną z pudełka, jakby potwierdzając swoje groźby. Tak stała – zapalną w jednej ręce, pudełko w drugiej; trzymała je niemal skrzyżowane jak miecze. Roześmiałem się, bo wyglądało to bardzo komicznie. Teraz, gdy zamykam oczy i chcę przypomnieć sobie tę tajemniczą dziewczynę, pojawia się przede mną właśnie ten obraz: wojownicza, koło kuchennego okna mojego warszawskiego



mieszkania, z zapałkami. Dopiero później dowiedziałem się o tej magicznej roli, jaką w irańskiej kulturze odgrywa ogień. A wtedy się śmiałem.

No cóż, to zdarzenie pomogło mi uświadomić sobie, że seksu nie będzie, ale mimo wszystko nadal chciałem spotykać się z Simin. Nawet spaliliśmy razem – oboje w pizza-mach, delikatnie objęci, ale nigdy nie próbowałem posunąć się dalej. Dlatego, być może, mi ufała. I przez to pamiętam ją dotąd, a nawet po swojemu dotąd kocham – bo wtedy nie przespaliśmy się, a po prostu spaliliśmy razem, w objęciach, delikatności i zaufaniu. Jak anioły.

W lipcu Simin obchodziła urodziny. Dobrze to pamiętam, bo szykowała się do nich u mnie w domu. W ciągu tego miesiąca, można powiedzieć, żyliśmy razem. I oto poszła golić nogi do mojej łazienki, a ja zostałem, siedząc w kuchni. Póki za ścianą ciurkała woda, oglądałem mapę. W każdym mieszkaniu, w którym przychodziło mi żyć, wieszałem na ścianie wielką mapę świata – jako ozdobę, jako obraz i pretekst dla marzeń i rozmyślań. Więc Simin zamknęła się w łazience. A ja patrzyłem na mapę, pilnie wpatrując się w Iran, oceniając jego naturalne bogactwa, ukształtowanie i położenie geopolityczne. Wtedy napisał mi się taki wiersz:

Kobieta, która goli nogi w twojej łazience,  
jutro będzie świętowała swoje dwudzieste czwarte  
urodziny.  
Choć „będzie świętowała” to za mocno powiedziane,  
po prostu zadzwoni do domu do rodziców  
i wieczorem się pomodli.  
Nie rozumiesz jej modlitw, jej zagadkowych poglądów,  
języka menu w jej telefonie.  
Niesądzone wam być razem, to lepiej,  
mówisz sobie, że to lepiej.  
W chwili szczególnej naiwności mówisz,

że wierzysz, że oni nie mają broni jądrowej,  
żadnej broni jądrowej i czujesz, że jesteś głupkiem.  
Potem ci się śni, że jej ciało  
pachnie bronią jądrową, pustyniami i cygańskimi  
pieśniami.  
Dlaczego cygańskimi – pytasz siebie rano,  
ale odpowiedzi nie ma, nie wiesz,  
jak minęło jej dzieciństwo i gdzie nauczyła się  
angielskiego,  
czemu wybrała właśnie ciebie.  
Jesteście razem od trzech tygodni. Czasem oglądasz  
mapę świata,  
oceniając położenie Iranu, jego sąsiadów,  
zasoby naturalne i ludzkie.  
Zdaje ci się, że rozumiesz ją coraz lepiej.  
Czasami pytasz ją o Iran, obiecujesz, że z nią tam  
pojedziesz,  
a ona pachnie jednak cygańskimi pieśniami i bronią  
jądrową,  
i taka pustynia między wami, i zapada wieczór,  
i ona goli nogi w twojej łazience.

Kiedy Simin wyszła z wanny w wielkim białym szlafroku i z ręcznikiem na głowie, wiersz już był skończony. Nigdy nie powiedziałem jej o nim, zresztą na angielski przełożono go dopiero po dwóch latach. A po dwóch latach ja nawet nie wiedziałem, gdzie ona jest, z kim i jak. Przecież jeszcze tego pamiętnego lipca rozstaliśmy się na zawsze. Przy końcu miesiąca Simin poleciała do Iranu, umówiliśmy się, że spotkamy się na początku semestru w październiku, wymieniliśmy się telefonami i adresami elektronicznych skrzynek, ale dziewczyna nigdy nie odpowiedziała na żaden mój mail, a jej numer telefonu od dawna był nieaktualny. Usiłowałem szukać jej w internecie i w sieciach społecznościowych, ale

na próżno. Na wydziale także więcej jej nie widziano. Pozostawało mieć nadzieję, że u niej wszystko w porządku, że jest żywa i zdrowa, że po prostu ojciec przemyślał sprawę i postanowił wydać ją za mąż szybciej, dlatego nie wróciła do Warszawy.

Jak już wspominałem, wiersz o jej nogach i łazience po dwóch latach został przełożony na angielski, a wkrótce potem na niemiecki. Tak się złożyło, że wśród kilku wierszy, które wydrukowało mi pewne niemieckie czasopismo, znalazł się i on. Tak się też złożyło, że to czasopismo trafiło w ręce Ricarda, teraz już mojego przyjaciela, a on z kolei pokazał ten wybór dyrektorowi jednego z brazylijskich festiwali literackich. Nie wiadomo, z jakiego powodu właśnie ten wiersz spodobał się im najbardziej i już po miesiącu otrzymałem od nich zaproszenie, by wystąpić na festiwalu w Brazylii – w zagubionym w środku kontynentu miasteczku Tiradentes i w Rio de Janeiro. Rzecz jasna, zgodziłem się. Co tam zgodziłem – przez tydzień od otrzymania zaproszenia nie mogłem zasnąć, wciąż wyobrażając sobie przyszłą podróż.

Już na festiwalu, a dokładniej na przyjęciu po jego otwarciu, w swojej wspaniałej willi dyrektor festiwalu poprosił mnie, bym napisał mu ten wiersz w języku oryginału, żeby mógł go sobie oprawić i powiesić na ścianie. Dotąd nie pojmuję, czym ich tak bardzo „wziął” ten tekst, którego nie uważam za swój najlepszy ani nawet za jeden z najlepszych. Ot, wiersz jak wiersz.

Ta historia żyła głęboko we mnie, z rzadka o sobie przypominając. Kiedy Simin nie zjawiała się w październiku, jeszcze trochę tęskniłem, ale nie cierpiałem, czasem wspominałem ją, ale w takim całkiem melancholijnym duchu. Jak jasne i przyjemne doświadczenie. Jak miłość, która odbyła się poza granicami ciała. Chciałem po prostu myśleć, że gdzieś daleko wszystko u niej jest w porządku i że jest szczęśliwa. Powoli

zapominałem tę czarującą dziewczynę i nasz subtelny lipiec, coraz bardziej zdawało mi się, że cała ta historia była wymysłem i snem. Jednak wspomnienia o Simin czasem powracały – jak fantomowy ból, w bardzo niespodziewanych miejscach.

Pierwszy raz przypomniałem sobie o niej tak wyraźnie – bo wspomnienie aż ukłuło mnie w serce – w strefie Czarnobyli. Od dawna marzyłem, żeby tam pojechać, aż wreszcie znalazłem przewodnika, stalkera, mojego rówieśnika, który zgodził się nielegalnie przewieźć mnie do Strefy Zamkniętej. Wcześniej byłem już tam z oficjalną wycieczką, widziałem porzucone miasta, reaktor i wszystko inne, ale chciałem zobaczyć inną, nieturystyczną, magiczną Strefę. I oto nielegalnie przedostaliśmy się w głąb, włączyliśmy się lasami i bezludnymi wsiami, przenocowaliśmy przy ognisku, żeby o czwartej rano zobaczyć mgłę nad moczarami. Mój przewodnik powiedział: „to najpiękniejsze ze wszystkiego, co człowiek może w życiu zobaczyć”. I nie skłamał. Kiedy o czwartej rano przedarliśmy się przez drzemiące poleskie chaszczce, prawdziwe dżungle, do moczarów, zaparło mi dech. Świtało, rzadziutkie światło przedzierało się przez korony drzew, a nad zielonymi od nenufarów moczarami parowała mgła. Ale nie siwa, jak zazwyczaj, a jakaś srebrna, magiczna, aż lśniła w tym porannym mroku. Stalker uważał, że to efekt skażenia radioaktywnego, potem przeczytałem, że to rezultat gnicia jakichś szczególnie wodorostów. Srebrna mgła. I wtedy przypomniałem sobie moją miłą Simin. Zdawało mi się, że jej skóra tak samo – tylko niewidzialnie – parowała, pachniała, nasycając wszystko wokół swoimi czarami. Bo przecież Simin po persku to srebrzysta, srebrna, czyli nie samo srebro, a połysk srebra, jego chłodny blask.

I oto znowu wspominam ją – tutaj, w Brazylii, na legendarnej plaży Ipanema, na brzegu Oceanu Atlantyckiego. To ona powinna być tutaj, na moim miejscu. Przecież to jej zasługa, że trafiłem tu, to jej wiersz, wiersz o jej nogach i jej zapachu.

Chociaż co ona by robiła na najpiękniejszej plaży świata w swoim hidżabie, to jest czadorze? Ale mimo wszystko myślę o niej już drugi tydzień, przypominam sobie każdą chwilę, spędzoną razem, z moją maleńką dziewczynką, która potrafiła być taka delikatna i taka groźna. Miłość nie z tego świata, jak powiedział pewien mój przyjaciel, kiedy przy szklance whisky opowiedziałem mu tę historię. Czasami, kiedy budzę się w pustym pokoju pośród czarnego mroku, zdaje mi się, że w powietrzu rozlano zapachy kwiatu bzu po burzy. Wtedy wiem, że ona mi się śniła. Simin.